

Krytyka zawsze nie w porę

Teatr „Komedia“ w Warszawie: WARTOGLÓW
CZYLI ZAWSZE NIE W PORĘ Molière w przekła-
dzie Tadeusza Boya-Zeleńskiego. Reżyseria: Kry-
styna Sznerr, scenografia: Andrzej Cybulski. Pre-
miera 18 października 1969 r. (fot. F. Myszkowski)

Teatr „Komedia“ nie należy do czołowych teatrów warszawskich. Nie jest to teatr dzielnicowy mający własną wierną publiczność. Nie można go na razie — z pełną odpowiedzialnością za słowo — nazwać teatrem popularnym na dobrym poziomie artystycznym, uczącym, wychowującym i bawiącym widza ukształconego już w smaku teatralnym i widza ze sztuką teatralną jeszcze dostatecznie nie obytego.

Obserwując ostatnie sezony działalności warszawskiej „Komedii“ można jednak zauważyć kilka rzeczy budzących nadzieję na przyszłość. Wyraźnie ożywiło się tempo pracy. Widać próby wypracowania modelu peryferyjnego (z racji centralnego układu innych teatrów) popularnego teatru rozrywkowego. Zaznaczyły się poszukiwania repertuarowe obejmujące sztuki rozrywkowe, od melodramatu poprzez komedię klasyczną do operetki i przedstawienia dla dzieci, wreszcie starania



1. Teresa Mikołajczuk (Celia) i Lech Pietrasz (Andres). 2. Zdzisław Leśniak (Maskaryl), Saturnin Zórawski (Tryfaldyn), Bolesław Kostrzyński (Goniec)

artystyczne, może lepiej: usiłowania artystyczne.

Piszę „usiłowania” artystyczne, nie „osiągnięcia”, bo na razie — przy największej sympatii dla pracowników tego teatru i przy najwyższym szacunku dla ich wysiłku — można

mówić jedynie o staraniach, poszukiwaniach, dobrej woli; o udanych próbach artystycznych czy udanych w pełni przedstawieniach jeszcze nie. Dla dobra zatem wspólnego, widzów przede wszystkim, ale i artystów „Komedii”, których praca i talent stanowią naszą wspólną wartość, dla dobra sztuki teatru w Polsce spróbujmy (a ważne są przecież nie tylko eksperymenty, nie tylko postęp w sztuce, ważny jest także dzień powszedni teatru, poziom osiągnięć dnia codziennego) zdać sobie sprawę, na czym to polega.

To prawda, że o wszystkim decydują kadry. W teatrze kadry o specjalnym wykształceniu i rzadkich, a w innych zawodach na ogół nie wymaganych, walorach. W Teatrze „Komedia” są utalentowani aktorzy, ale nie ma zespołu, który by umiał wspólnie pokonywać przeszkody, jakie stawia wybierany repertuar.

Teatr „Komedia” zaprosił do współpracy grono obiecujących reżyserów. W przyszłości w większym niż dotychczas stopniu kierownictwo artystyczne teatru będzie musiało dbać o to, by ci współpracownicy chcieli rozumieć przeznaczenie sceny, która powinna uczyć smaku teatralnego; będzie musiało w większym stopniu zaopiekować się ich poczynaniami zawodowymi. Może np. zapraszać do współpracy wybitnych twórców, by mógł się od nich uczyć zespół i reżyserzy, a publiczność miała okazję do porównań; może intensywniej doglądać prób i energiczniej służyć radą. I niechby wówczas w tej sali sprawiającej wrażenie ogromnej i nieco brzydkiej, farsa, komedia i melodramat wycisnęły z oczu na przemian łzy wesela i żalości.

Popatrzmy się ostatniej inscenizacji Moliera *Wartogłów* na tej scenie. Najpierw może pozytywy. Widać dobrą wolę wykonawców i ich rozliczne starania. Ani cienia lekceważenia publiczności czy swojej pracy. Solidnie opracowane role, przemyślane układy sytuacyjne, wyreżyserowane najdrobniejsze sceny i epizody, interesująca muzyka. Widoczny nawet nadmiar starań, które w tym wypadku czynią przedstawienie przyćmikiem i zbyt serio solidnym, jak na komedii i aluzje do komedii dell'arte. Zaczynając od dekoracji: w

czasach skrótów, umowności, kotar i ruchomych podestów, obracających się ażurowych dekoracji, dostawianych mebli — na scenie „Komedii” króluje realistyczny rynek włoskiego miasteczka. A jakby tego było za mało, wszystko w nim „jak żywe”. Nie ma wprawdzie żywych kur, psów i kotów, jak u Swinarskiego czy Prusa, ale są za to wierne imitacje aż trzech psów. Jest źródelko, które po przerwie ledwie dyszy przygłuszonym stękanem hydroforu zanim ruszy i poleje się prawdziwą wodą. Są prześcieradła, drabina, kurczaki, świeczniki, lampa, dwa krzesła, balkon, stolik, obraz, kwiaty w wazonie, stół, stół, wielbiład, szyld... czego tam nie ma.

Mogłoby to wszystko sobie być na tle dekoracji, konturem przypominającej dekorację Bérarda do *Szkoły żon*, gdyby czemuś służyło. Kolorytu jednak specjalnie nie podbudowuje, bo jest po teatralnemu brzydkie, a żywe udaje dość mizernie. Zagrącając natomiast scenę odwraca uwagę od aktorów, którzy i tak niewiele potrafią zdziałać, w każdym razie na pewno nie potrafią jednej rzeczy: rozśmieszyć widowni. Zważcie: rozśmieszyć na komedii w teatrze o wdzięcznej nazwie „Komedia”. To już horrendum.

Jedyna postać, która lata całe przedstawienie, to Maskaryl Zdzisława Leśniaka. Dobry. Ale byłby o wiele lepszy, gdyby miał partnerów. Od jego świetnych sztuczek, które nie wywołują należnego zaciekawienia ani reakcji partnerów, robi się widzowi jeszcze smutniej.

W tej sytuacji wdzięczne minki Celi (Teresa Mikołajczuk), jedna scena z Tryfaldynem (Saturnin Zórawski) naprawdę zabawna, przystojny Egipcjanin (Lech Pietrasz), jedna żywsza bijatyka — doprawdy już nic zdziałać nie mogą. Cała pretensja zresztą nie do aktorów, raczej do reżysera, na pewno do kierownika artystycznego. O więcej gustu, więcej śmieszności, więcej dobrej zabawy, lżejszą grę, farsę i bań w jednym przedstawieniu, które dopiero zmieszane pozwolą wydobyc te szczyptę teatralnej poezji i tę gorzką mądrość o człowieku, jaką zawsze zawierała komedia dell'arte i teatr Moliera.